

OPIEKUN DZIATWY

BEZPŁATNY DODATEK DO „GŁOSU WĄBRZESKIEGO”

NR. 4

WĄBRZEŻNO, DNIA 11 MAJA 1935 ROKU

ROK 5

Echo wieczorne

Nućmy Marji cześć i chwałę
Po zgaśnięciu zórz,
Kiedy w wieczór niebo całe,
W gwiazdki białych róż usiane,
W gwiazdki białych róż.

Niech AVE srebrnej rosy,
Powstającej z mgły,
Złączy się z naszymi głosy
I osuszy lzy mylane
I osuszy lzy.

Śniegowczyk.

Janek na balu

Pod powyższym tytułikiem czytamy w żywocie świętego Jana Bosko — wielkiego opiekuna młodzieży — niezwykle piękny opis, jak to jedenastoletni Janek starał się, by ludzi odciągnąć od zgorznienia.

Liczył sobie Janek jedenaście do dwunastu lat, gdy z okazji święta odpustowego w Murialdo (we Włoszech) urządzono na placu publiczny bal z tańcami. Było to podczas niesporów. Janek więc, pragnąc usunąć zgorznienie, przyszedł na plac i, zbliżywszy się do tłumu, złożonego częściowo z jego znajomych, zaczął tych i owych nakłaniać do przerywania zabawy i do wzięcia udziału w niesporach.

— No i patrzcie: — dziecko jakiego chce nam tu prawa dyktować! — zawołał ktoś z tańczących.

— Któż to ci udzielił tej wdzięcznej misji, żebyś tu występował z kanzaniami? — pyta drugi.

— Akurat ciebie brakowało tutaj, by nam zakłócać w najlepsze cały bal! — woła trzeci.

— Odczep się i daj nam pokój, bo nic ci do tego! — krzyknął ostro ktoś czwarty.

Janek na to zaczął śpiewać religijną pieśń ludową tak pięknym i dźwięcznym głosem, iż niebawem wszyscy podbiegli ku niemu. Następnie, po chwili, skierował się w stronę kościoła; za nim poszli wszyscy uczestnicy balu, jakby zachwyceni i wrzecie wraz z nim przestąpili progi Domu Bożego.

O zachodzie słońca Janek powrócił na bal, który podjęto z szalonym rozpędem. Mrok już nastawał; zbliża się tedy chłopczyzna do osób, wyglądających nieco poważniej i mówi:

— Czas wielki do domu! Bal zaczyna być niebezpiecznym.

Lecz nikt na to nie zważał. Janek więc znów się zabrał do śpiewania pieśni, jak to uczynił parę godzin przedtem. Na dźwięk słodki i wprost czarujący jego głosu przerwano tańce i miejsce balowe całkiem się opróżniło. Wszyscy otoczyli go kołem, chcąc się nasłuchać śpiewu, a gdy skończył ofiarowywali mu różne dary, żeby śpiewał dalej. Janek śpiewał chętnie, lecz podarków żadnych nie przyjął. Kierownicy balu, widząc, że z zakończeniem tańców skończy się także ich zarobek, podeszli do małego śpiewaka i, dając mu pieniądze, rzekli:

— Słuchaj! Albo bierz te pieniądze i odejdź sobie stąd, albo też dostaniesz takie cięgi, że długo je będziesz pamiętał!

— Hola!.. — odrzekł Janek. — Czego wam się zachciwa? Czy ja może jestem na waszych śmieciach, żebym was miał słuchać? Czyż mi nie wolno robić tego, co mi się podoba? Mam tu przecież krewnych, na których oczekują w domu; jeśli więc ich wołam, to wam się krzywda dzieje?

Te i tym podobne uwagi, wypowiedziane przez młodociane chłopię, zadziwiły i skłoniły wielu do opuszczenia balu. Uporczywsi pozostali tam jeszcze na kilka chwil, lecz ujrzawszy się w ogromnej mniejszości, podążyli niebawem do domu.

Nie zaszkodzi nam wróg...

Gdy Wam Miłość ku Matce Bożej

w sercu się narodzi,

Wówczas Ojczyźnie naszej

wróg już nie zaszkodzi.

Lecz gdy naród będzie miał

duszę zbryzganą,

To nam wróg zabierze

Ojczyznę kochaną.

Osiół nad żłobem

Osiółkowi w żłoby dano,
w jeden owies, w drugi siano.
Uchem strzyże, głowę kręci,
I to pachnie i to nęci;
Od któregoż teraz zacznie,
Aby sobie podjeść smacznie?
Trudny wybór, trudna zgoda:
Chwyci siano, owsa szkoda,
Chwyci owies, żal mu siana.
I tak stoi aż do rana,
A od rana do wieczora;
Aż nareszcie przyszła pora,
Że oślina pośród jadła,
Z głodu padła.

A. Fredro.

Mały Męczennik

Miał zaledwie lat osiem, kiedy w roku 1900 widział na własne oczy, jak ginęli za wiarę jego dziadek, babka, brat i matka.

Kapłani buddyjscy postanowili za wszelką cenę odwieść go od wiary w prawdziwego Boga. Przynieśli mu łakoci i zabawek, używali wszelkich środków, by go nakłonić do wyrzeczenia się wiary.

Zrazu milczał jak zaklęty, dopiero po pewnej chwili, podniósł dumnie głowę i rzekł:

— Zaprowadźcie mnie do swej świątyni.

Ucieszyło ich to bardzo, że przynajmniej jednego zdołali oderwać od religii katolickiej. Po przybyciu do świątyni stanął przed statua bożka, zażądał łopatki z kadzidłem, wziął ją w rękę i z uśmiechem na ustach, uderzając po głowie żelaznego balwana, wyrzekł ze spokojem:

— Teraz chcę iść tam, gdzie jest mój ojciec i matka.

Kapłani pogańscy wściekli ze złości, że zostali oszukani, wywlekli go ze świątyni i przybili gwoździami do drzwi... Oto prawdziwy męczennik — bohater!

Jak wielką miłość do Boga musiała zaszcześcić w tem młodem serdusku jego pobożna mamusia, skoro okazał się tak nieustraszoną w obrobie wiary katolickiej.

Czy jesteś gotów podążyć w ślady tego bohatera? — Wiedz jednak, że w pięciu minutach nie można zdobyć takiej mocy ducha.

pracy nad sobą.

Jest to owoc mozolnej i wytrwałej

Opowiadanie

Cioci Pióro

WIELKI PAN NA PODWÓRKU

Kiedy na wiosnę zaczęła zielenić się trawa, a stare kasztany wypuszczały młode zielone listki, podwórze ożywiało się. Tam gdzie w zimie leżał biały śnieg, a koło studni gruby śliski lód, gdzie panowała martwa cisza, wiosną i latem od wschodu do zachodu słońca gwar nie ustawał.

Panem życia i śmierci na podwórzu był wyżeł Nero. Wprawdzie nie był on młody, ale zato bardzo poważny i stateczny, pilnował, aby na podwórku nie wszedł ktoś obcy i żeby ptactwo domowe nie wychodziło na ulicę. Najczęściej leżał wyciągnięty na słońcu. Oczy miał przymknięte, i komuś, kto go nie znał zdawać się mogło, że Nero śpi. Ale niechnoby w takiej chwili ktoś leciutko ruszył klamką przy bramce. Nero zrywał się błyskawicznie i jednym susem był koło bramy. Opierał się o furtkę i warczał tak groźnie, że nikt nie miał odwagi narażać się na jego gniew. Czasem jakieś handlujące żydki długo stały przy bramie wypatrując przez szparę w płocie, kiedy Nero zajmie się czemś w głębi podwórza i przestanie zwracać uwagę na furtkę. Gdy taka chwila nadeszła, wsuwali się ostrożnie i idąc wzdłuż muru, kierowali się do drzwi. Nie zdążyli zrobić dwóch kroków. Nero był już przy nich, ujadając i szarpiąc zębami za chałaty. Poturbowane żydziaki uciekały, gdzie pieprz rośnie.

Starego Nera wszyscy szanowali. Był czas, że koty ze złości za ciągle wypędzanie z ganku, rozpuściły plotki, że panem podwórza jest indyk, bo go się nawet Nero boi. Kaczki z niedowierzaniem kiwały głowami, ale głupie, tchórzliwe kury uwierzyły.

Indyk zrobił się strasznie dumny i przez ten czas nie dawał nikomu spokoju. Złościł się o byle co, a korale z tej złości robiły się purpurowe. Skończyło się to bardzo prędko, bo Nero chcąc indora doprowadzić do porządku, wyrwał mu kilka piór z ogona. Od tego czasu zapanował spokój. Indyk wstydząc się „szczerbatego” ogona, przetrawiał złość, siedząc na śmietniku.

Bywają jednak wypadki spowodowane siłami wyższymi, którym nawet taki doświadczony pies, jakim był Nero, nie może dać rady.

Pewnego dnia, kiedy „Czarna Kwoczek” wyprowadziła swoje dzieci na

spacer, a Nero jak zwykle w pogotowiu siedział na środku podwórza, jak piorun z jasnego nieba spadł olbrzymi jastrząb i porwał „Czarną Kwoczkę”. Napróżno Nero rzucił się za nim. Jastrząb wzbil się w powietrze i po chwili zniknął z oczu. Małe kurczątko podniosło straszny lament. Pozbawione matki, pomimo starań pozdychały. Zostało tylko jedno, mały Cipuś.

W nocy, kiedy było chłodno, mały Cipuś piszczał żałośnie. Nero nie mógł tego słuchać. Którejś nocy ułożył się obok kurczęcia i przygarnął je delikatnie wielką łapą. Cipuś przytulił się do psa i tej nocy spał spokojnie. Od tego czasu Nero nie siadywał nigdy sam. Zawsze tuliła się do niego mała żółta kuleczka Cipuś. Kiedy padał deszcz, Nero, który najchętniej zwinąłby się w kłębek w swej budzie, stał na środku podwórza rozstawiwszy łapy, a pod nim osłonięty od deszczu Cipuś. Czasem chcąc nie chcąc musiał leżeć godzinami w niewygodnej pozycji, bo gdzieś pod nim spało kurczątko, a przecież żał go było budzić.

I wychował duży brązowy wyżeł Nero małe żółte kurczątko. Ogrzewał je ciepłem swego ciała w zimne noce, odpędzał stare kury od ziarna przygotowanego dla Cipusia. I zdaje mi się, że całe „towarzystwo podwórzowe” kury, kaczki i indyczki od tego czasu nietylko szanują i boją się dzielnego psa, ale kochają go na swój sposób.

CIOCIA PIÓRO.

Nasz humorek

OSZCZĘDNOŚĆ I GEOGRAFJA

Szkot z małym synkiem przechodzi koło karuzeli. Mały chce się na niej przejechać, ojciec Szkot odmawia.

— Tatusi, chciałbym się choć raz okręcić wokoło...

— Po co — to ci mało, że ziemia się z tobą już dziś raz okręciła?

—

— Jak długo pozostawali Adam i Ewa w raju — pyta dzieci ksiądz na nauce katechizmu.

— Aż do jesieni!

— Skądże to wiesz?

— Bo jabłka dopiero w jesieni dojrzewają!

—

W SZKOLE

Mała Elżunia opowiada:

— Głosowałyśmy dziś, która z całej klasy jest najładniejsza.

— Na którą padł wybór?

— Na żadną. Każda otrzymała po jednym tylko głosie (swoim).

WYTLUMACZYŁ SIĘ.

— Byłem potrzebny ojcu w domu, panie profesorze.

— Nie mógł się kimś innym wyręczyć?

— Nie! Wybił mnie!

—

DENTYSTYKA.

— To przecież nonsens tak cierpieć na ból zębów — ja znam korzeń, który, gdy się weźmie w rękę, ból zęba ustaje natychmiast.

— Nie żartuj, co to za korzeń?

— Korzeń zęba...

Prace nadesłane

MŁODOŚĆ — RZEŻBIARKA ŻYWOTA.

Tak mówi nasz poeta. Pozwólcie jednak, że zaczne od małego przykładu, od małej niedokładności... Otóż raz pewnego chłopiec powraca bardzo późno ze szkoły. Mamusi tłumaczy się kłamstwem, „...że właśnie dziś pan nauczyciel przytrzymał nas o jedną godzinę dłużej”. — Ileż to dzieci okłamuje swych rodziców i wychowawców, a kłamstwo zawsze wyjdzie na jaw, szczególnie na końcu roku szkolnego. — Kłamstwo to brzydka wada!

Drugą wadą, właściwą u dzieci, — to łakomstwo. Od młodości już dopuszczają oni „szturm” do cukierniczek i spizarek. Dzieci, unikajcie łakomstwa! Dobrze byłoby tak od czasu do czasu skazać swój brzusek na mały post, ucząc go w ten sposób respektu. Spróbujcie przynajmniej kilka razy, a zobaczycie, jaki wyniknie z tego rezultat. Trzecia wada — bodajże najgorsza — to chciwość. To zbieranie wszelkimi siłami pieniędzy, jest groźnem, gdyż czyni człowieka niewolnikiem. W sercach rozwielnia się na wielką skalę skapstwo z chciwości. Słusznie tedy mówi przysłowie: „chciwy dwa razy traci”. Jednakowoż zaznaczam, że tu nie mam na myśli zwalczania oszczędności, nie! — przeciwnie, uczmy się oszczędzać, lecz wtedy, jeśli chodzi o własną dobroć.

Młodzieży! słuchaj rad ludzi doświadczonech, którzy zawsze są wam pomocni. Młodość nasza stopniowo upada na duchu, aż w końcu może marnie zginąć. Tak dalej być nie powinno i nie dopuścimy do tego, by nasza młodzież miała się błąkać po rozstajnych drogach. Jedno zapamiętajcie: ...Młodość, to wiosna, czas siania dobrego ziarna na lepsze jutro. Wiedźcie, że za życie jesteście odpowiedzialni wobec Boga i Ojczyzny. Życie jest czasem walki i zdobywania; w bólu bowiem kryje się wielka idea duchowej budowy.

Wiktor Promski.

JULJAN PODOSKI

BANZAJ

4) P O W I E Ś Ć

Stefek opuścił głowę i, schowawszy ją w ramiona, miał zapłakać, lecz naraz przypomniał sobie słowa „Różowego Kwiatu Wiśni”, wypowiedziane wówczas, gdy umierała w Paryżu. Zagryzł wargi aż do krwi. Podniósł dumnie głowę.

— No, czemu nie becysz? — drażnił go Śláz.

— Płakać? — odrzucił Mirski — nie, chyba śmiać mógłbym się z ciebie, ale nie będę, bo jesteś na to za głupi!

Janek targnął się naprzód, żeby malcowi dać nauczkę, lecz w tej chwili rozległ się dzwonek.

Rozpocząła się następna lekcja.

Rozdział II.

„MIESZANIEC”.

Dwa tygodnie minęły od rozpoczęcia roku szkolnego. Dni płynęły jednostajnie i podobne do siebie, jak rodzony brat do brata. Chłopcy z pierwszej klasy otrząskali się już z gimnazjum i poznali nauczycieli. Każdy z malców wiedział doskonale na co można pozwolić sobie z księdzem prefektem i co uchodzi bezkarnie na lekcji matematyki.

Każdy z nich przekonany był o tem, że wychowawca Zieniecki łagodny jest, jak gołąb i pobłażliwy dla wszystkich, z wyjątkiem Śłaza. W czasie jego godziny śmiało można było rozmawiać do woli, przy zachowaniu zaś pewnych ostrożności, zajmować się wszelkimi sprawami, nie mającymi żadnego związku z przyrodą, którą wykładał. W najlepszym kwitł wówczas handel zamienny na marki, z pasją uprawiano przepisywanie zadań geometrycznych z kajetów lepszych uczni, lub z zapalem grano w interesującą zabawę, zwaną „szewcem”.

Natomiast historyk Lecicki, olbrzym o niezmiernie szerokich ramionach i jasnych, a łagodnych oczach, „to pies”, jak go nazywał Śláz, „wszystko widzi nie patrząc”. Lecicki jak jastrząb spadał na nieuważających. Kiedy zaś ten lub ów, zaskoczony i zmieszany, nie umiał odpowiedzieć na zapytanie, Lecicki ze słodkim uśmiechem stawiał mu złą notę w dzienniku, cedząc przy tem miodowym głosem:

— Jung otrzymuje jedność! Proszę koniecznie pochwalić się tem w domu i poprosić opiekę, żeby Jungowi dała w skórę, bo to ogromnie pomaga na zaostrzenie uwagi i pilności.

Lecickiego bano się, jak ognia, mimo, że nigdy nie podnosił głosu i nie krzyczał, jak zwykła była czynić np. mademoiselle Zawilska, cierpiąca stale na migrenę. Z tą świetnie dawał sobie radę Janek, zaraz na początku godziny, podchodząc do katedry i, z powagą składając tzw. „ołówek od bólu głowy”. Zawilska dziękowała gorąco. Śláz zaś huczał możliwie doniośle:

— Cicho smarkacze, bo panią profesorkę boli głowa.

Wróciwszy do ławki, natychmiast schylał głowę i wydawał jakiś ponury syk. Panna Zawilska porywała się, jak oparzona, stękając: „Och, och, bo zemdleję!” Usłużny Śláz leciał w te pędy z klasy, po szklanke wody, zjawiając się z nią dopiero na minutę przed dzwonkiem. Co robił i gdzie przebywał, to jego tajemnica. Dość, że zwykle potem, aż niosło od niego zapachem tytoniu, gdyż ów obiecujący, trzynastoletni młodzieniec, świetnie znał się na różnych gatunkach papierosów monopolowych i podobno je stale palił.

Spokojny i cichy Stefek Mirski, który po awanturze w pierwszym dniu lekcji, przesiadł się do Ślaskiego, najbardziej upodobał sobie godzinę geografji.

Wykładał ją, zasuszony staruszek, pan Hryniewiecki, który bardzo lubił „małego z Japonji”, wrywając go tylekroć, ilekroć razy trzeba było wskazać na mapie Kamczatkę, Sachalin, lub półwysep Koreę. Wówczas kładł swą drżącą dłoń na ramieniu syna „Kwiatu Różowej Wiśni” i mówił:

— Niechże nam wskaże to syn pięknego kraju wschodzącego słońca.

Gdy zaś Stefek wypełnił polecenie staruszek kiwał głową życzliwie:

Dobrze, doskonale, teraz zaś Mirski opowie kolegom coś o strasznych burzach na tamtejszych morzach, zwanych „tajfunami”.

Stefek opowiadał. Najpilniejszego zaś, słuchacza miał w starym profesorsze. Hryniewiecki odwracał głowę gdzieś w kierunku okna i biegł oczyma w przestrzeń. W miarę opowiadania twarz małego Mirskiego zmieniała się zupełnie. Żrenice chłopca, dotychczas zamglone i smutne, błyszczały. Prostowała się wątła pierś. Strumieniem płynął z ust wartki potok wymowy. Nawet rozswawolona gromada kolegów, zapomniała na jakiś czas o

figlach, słuchając opowiadania z zaciekawieniem.

Stefek mówił, głos jego nabierał dźwięku mowy dorosłego człowieka. Kiedy wreszcie kończył opowiadanie, długo jeszcze trwało milczenie.

Stary Hryniewiecki dopiero po pewnym czasie budził się, jakby ze snu, wzdychając, następnie zadawał niedyskretne pytanie:

— Tęsknisz chłopcze do tego pięknego kraju?

Mirski bladł i później wyrzucał z trudem:

— Tęsknię...

Nauczyciel podniósł się i zszedłszy z katedry, chodził wzdłuż ławek, zatrzymując się przy tym, albo owym uczniu:

— Słyszałeś opowiadanie Mirskiego?

— Słyszałem panie profesorze.

— Ciekawe, prawda?

— O tak.

Jedynie Śláz udawał, że był odmiennego zdania:

— Hm... opis tego można znaleźć w niejednej książce.

Hryniewiecki przyglądał mu się uważnie, potem zaś machał lekceważąco ręką:

— Osioł jesteś, mój kochany, skończony.

Staruszek wracał do katedry, i stawiając Mirskiemu piątkę, gdy rozbrzmiewał dzwonek, wołał go do siebie:

— Chodź mój mały, odprowadzisz mnie do pokoju nauczycielskiego i po drodze opowiesz mi jeszcze o twojej Japonji.

Po ich wyjściu Janek zaciskał pięści i mruzczał:

— Dobrali się, stare próchno i żółty odmieniec — tańcowała ryba z rakiem, a pietruszka z pasternakiem.

Równie miłe były dla Stefka lekcje języka polskiego. Prowadził je pan, o dosyć rozwichrzonej czuprynie, nazywający się Wacławem Rąbem. Do gimnazjum przenikała sława jego, jako poety, gdyż często drukował wiersze w pismach stołecznych.

Inżynier Mirski, poza pracą zawodową, w największej w kraju fabryce samochodów, miał wielkie zamiłowanie do literatury i pilnie śledził to, co nowego drukowano. Znał też dobrze poezję młodego nauczyciela, chwalał je przed Stefkem. Kilka razy, jeszcze przed zaczęciem lekcji, jeden z piękniejszych wierszy Rąba, czytał synowi głośno, radząc, żeby go zapamiętał. —

(Ciąg dalszy za tydzień).